Kaukaz.

Migocą złote pomarańcze
w odludnym czarnym salonie —
Ty upiór — rządzisz na tronie —
z miesiącem wchodzę ja — i tańczę.

Splecione kobry nad róż misą
nurzają jady w kryształ czarek —
wśród maurytańskich kolumn Wareg
mieczem wskazuje tam gdzie lwy są.

Miłosne krwawe pomarańcze
w letargu śniącej czarnej Dyany —
o jęku, tylko raz słyszany!
— — — — —
Z miesiącem wszedłem tu i tańczę.

*
* *

Dni moje — jako borów palących się szum.
Noce me — to zbłąkany kometa w niebiosach.
Miłość ma — jak przez widma opętany tum.
Pieśni me — niby króle ginący na stosach.

*
* *

Mam serce popękane jak wulkan w płomieniu
i pędzę, wichrem niesiony wśród skał:
nad morza cicho śniące, nad głębie w omdleniu,
gdzie pył kwiatowy tonie, który wicher zwiał

Tak chciałbym słuchać śpiewów z minaretu,
nucących Imię Boga nad morzami z gwiazd!
Tak chciałbym w pierś mą sączyć powietrze sorbetu,
z dolin płynące aż do orlich gniazd!

Tak chciałbym palić twoich oczu lawę
błyskawicami moich czarnych żądz —
i miecz złożywszy między nas w murawę —
i z zatrutego drzewa kwiat pachnący rwąc — —

Lecz serce mam spękane, jak wulkan w płomieniu,
krwawiący Imię Boga wśród piekielnych skał.

*
* *

Noc — kryształ czarny. Iskrzą się gwiazdy nad borem.
Jeszcze mam obraz Twój w sercu mem smutnem i chorem.
Pociąg mię niesie w dal ku morzom, gdzie wszystko utonie —
i wtedy pójdę ku wam, o gwiazd plejado, Orionie!

*
* *

Lecę wśród złotych pszenic
w gajach gdzie słoneczniki —
w brzęku jedwabnych uździenic
koń rwie się podemną dziki.

Hej, zepchnąłem carewnę
w Dnieprowe ciemne wiry —
a łzy Jej — chmury ulewne —
rdzą padły do mej liry.

Hej, leć koniu przez jary,
zerwij pasma kądzieli —
jam nie pieśniarz Tamary
smętny Szot Rustaweli.

*
* *

Nuży mię ta sina dal,
która nie ma grozy ciemnej Orki:
morze — ogród, wodorosty fal —
i delfinów stado, jak amorki.

Tu Czatyrdah nie śnieży w obłokach,
pieśnią wojny nie brzmią minarety,
burzan rośnie na Gireja zwłokach,
łez fontanny śnią milczeniem Lety.

*
* *

Skrzydła gryfów pokłębione budzą we mnie szał Atrydy.
Mórz głębiny zielonawe w mgłach powiodą do Kolchidy —
a te zimne skał potwory, gdzie Dyany ciemna grota,
ja miłością rozpłomienię w myt z porfyru i ze złota.

*
* *

Idziesz tu ze mną w zamarłe pustynie,
gdzie Sałgir szemrząc w cyparysach płynie —
a niebo jasne rozpala pożogą,
jak skrzydła duchów co wzlecieć nie mogą.

Czarne dyamenty — oczu twych latarnie —
wiodą mię w zimne jedwabne zasłony —
i jako Dante błądzę potępiony,
gdy mu ostatnia gwiazda zgasła w Arnie.

*
* *

Na maszcie moim Wega się żarzy —
a na dnie zimna puszcza korali —
fala wyjąca dziko się żali,
jak widmo tęskne umarłej twarzy.

*
* *

Wśród czarnych mórz
ogień w rubinie —
widzę w głębinie
Śniącą o wędrówce dusz.
Migocą żarze
na grobowcach gór —
płonęły nam twarze
miłością z nad chmur.
Słońce u wezgłowia
kładło cień po cieniu —
wśród ludzkiego mrowia
zostałem w milczeniu.
Ach, dobrze — już mrok —
na chmurach popioły —
widzę Boga wzrok —
gdy strącał Anioły.

*
* *

Róże — mimozy
kwitną tu,
czarne wąwozy
pełne mchu.
Gór lodozwały
sinią w mgle —
potok dziczały
jamy rwie.
Zmierzcha topazem
niebios chram —
zejdziemy razem
do tych jam.

*
* *

Jadowite węże pełzną po stepach,
księżyc rosę pije w srebrnych czerepach;
(miłość ma umarła, jak o szczęściu sen) — —
niebo wiekuistne, jak morze bez den.

Gór wierzchołki w gwiazdach rzeźbią Boga sąd—
zły geniusz tam kona — ma na skrzydłach trąd;
burze ciemne biją piorunami w skroń —
żadna z cór anielskich nie podejdzie doń.

Koń mój, krocząc w otchłań, trącił gniazdo węża —
skoczył w bok—i upadł—i już śmierć go stęża — —
idę sam—i patrzę w śnieżną Boga twarz—
chmury łez mych płyną do lodowych czasz.

*
* *

Pośród stepów i wydm i słonawych ziół
błękitnieją mury szafirów —
na nich gwiazdy lśnią z czarnoksiężkich kół,
łabędziami płyną wśród wirów.

Morze wzburzone, złe—pełne milczeń i zdrad—
morze pełne lśnienia turkusów —
wicher niesie mu pył — i szarańczę — i grad
i wycie z zadżumionych ułusów.

I wielbłądy tam błądzą po spieczonej pustyni,
gnąc swój grzbiet wśród czerwonych tumanów,
rzeki w piaskach mrą, niosąc swej Władczyni,
zwiędły liść jadowitych durmanów.

A tam w morza głębinie śni zaklęta królewna
i to morze straszne sił niema jej obudzić!

*
* *

O, jakież idą srebrne chmury
na te olbrzymie czarne szczyty!
. . . . nagły lecący ogień z purpury —
gwiazda! jak duch z amfory rozbitej.

W tych basztach popękanych są dziwne ulice,
w jaskiniach tajnych błyskają światełka —
meteor upadł w wyklęte ciemnice
niechaj me serce hymnem swym rozełka!

Księżyc i chmury — i ja — Twórca wolny!
jam rozwulkanił te góry w przedwieku,
ja widmo groźne żyjące w człowieku,
ja niebo — gwiazdy dzierżę — i ów zamek dolny.

Teraz mój los widzę—mój los widzę—ten że jestem bóg!
prawdę mówiłeś do mnie Luciferze!
to zapomnienie straszne — i wyjście za próg
mojej wieczności — skąd grzech źródło bierze!

Światła nad wodą śniącą, gdzie umarłe ludy;
obłoki cicho śnieżą te mury podniebne, —

a tam w księżycu zamek miłości i złudy
i zaklęte w kamieniu sonaty pogrzebne.

Bóg! jest Bóg! do Niego się pięły tytany law
i zdumione stanęły przed gwiazd huraganem
i czytając księgę dyamentowych praw,
umilkły — w zachwycenia morzu nieprzejrzanem.

Ja mrok — ja smutek — ja bezmoc — a jednak też bóg!
. . . .
mozajki gwiazd na czarnych wniebowziętych szczytach!

*
* *

Księżycu! przy ołtarzu chmur — wieszczku i kapłanie —
daj mi sny — tak skrzydlate — samotne — przejasne —
bym zapomniał, że idę w wyklęte otchłanie,
iskrząc się męką ognia — aż w dymach zagasnę!
. . . .
. . . .
Ciemne drogi me!
wysrebrzone —
ukochane —
wycałowane przez księżyc!

*
* *

Tyle dzwonnic kwiatów lila
modro-złotych i czerwonych
wśród zieleni się rozchyla
w zmierzchach rosy zbłękitnionych;

a w wąwozie gobelinów
gór się wełni potok siwy —
jadę szukać paladynów —
hufiec krzyża dotąd żywy!

Lecz nademną wieczna góra
lodozwałem zimnym jarzy,
w grotach oczy lśnią Ahura —
władcy grobów i cmentarzy.

*
* *

Księżyc wschodzący krwawo ponad misą stepu —
jakby wychudła twarz świętego Jana;
powietrze słodkie, jak róże Alepu —
i morza dal błękitna — modra — zadumana.

I tu mi jeszcze słychać Twe szlochania ciche —
jak krwawe liście klonu lecą na mą drogę —
i czuję, że Cię w trumnę kładnę, mą niebogę,
a idę w pałac marzeń stworzony przez pychę.

Złocę się jak latarnia umarłym okrętom,
i rzucam komet blaski w pomrok nieprzejrzany —
i tak mi jest jak gwieździe okutej w kajdany,
co innych wiąże swą mocą wyklętą!

Wracam — i świerszcze mi tak rzewnie nucą,
jakby wejść miało ze mną szczęście w progi —
ludzie znów będą — lecz dusze nie wrócą —
co się rozstały płacząc — w gwiazdach Mlecznej Drogi.

*
* *

Sen mi się jakiś ciemny przypomina,
który ostrzegał, by podróż zaniechać —
na próg w koszulce wyszła ma dziecina
i mnie tak żebrze: tatusiu, nie jechać!

Podniebna rzeka zmarzłego lodowca
łzy moje wzięła do zimnych potoków,
lustra Sardarów ujrzały wędrowca,
który je przyćmił gwiazdą wieszczych mroków.

Po opuszczonym błąkam się ogrodzie
straszliwych przeczuć, które ból tłomaczy:
śniłem, że brnę z mem dzieckiem w czarnej wodzie —
krew mu garełkiem biła — i w rozpaczy

niosłem na brzeg. — Więc ujrzę nad ranem
mój los — i niewolnik Boga
klęknę u stóp — lub będę szatanem!

*
* *

A gdym buchnął krwawicą z ust
wszystkie się nieba zebrały anielice
i płakały nademną.
Chmury zerwały tamę i pękł nieba spust.
Pachniały wieńce krzyża — i gromnice —
i stary Matki Bożej bohomaz świecił srebrem.
I lał się za oknem deszcz w mroku
i woda pluskała nad cebrem.
I zegar bił prędko dwanaście uderzeń.
I umierało jedno z moich białych wierzeń.
I byłem cichy, wiedząc, że w niebie jest na mnie
wydany sąd — i będzie głoszony stubramnie
po wszystkich murach — w Grodzie Potępienia.
Bulgotał w rynnach deszcz. Wlokły się czarne milczenia.
Zegar bił. Cóż jest dobro? Śmierć — która wiedzie do Boga.
W grocie samotnej nad morzem palą się dymy z trójnoga —
wśród drzew się szarpią błyskawice —
a z domu wyszły chore myszy — by zaczerpnąć tchu.
Tym myszkom ludzie święci wszczepili błonnicę —
— — taki mrok zimny — i taka ulewa — i tu
ja niegdyś miałem niebo otworzone.
O Luciferze! tam gdzie lwy w pustyniach
i gdzie haftują gwiazdy czarną tajemnic zasłonę,
tam pójdę — z błyskiem ognia w podziemnych świątyniach.

Tadeusz Miciński.